

Jak „stugębna plotka” wyprowadziła ZOMO na ulice

Niegroźne z pozoru zdarzenie – kradzież kilkuset złotych ze sklepu – doprowadziło w 1958 r. w Szczecinie do dwudniowych zamieszek, które ogarnęły centrum miasta. Dwie kompanie ZOMO miały problemy, żeby poradzić sobie z kilkutysięcznym tłumem, który został rozwścieczony szybko rozprzestrzeniającą się plotką i fałszywymi doniesieniami prasowymi.

Cała historia zaczęła się wczesnym popołudniem 21 maja 1958 r., kiedy do sklepu-piekarni przy ulicy Jagiellońskiej w Szczecinie weszły dwie dziewczynki. Korzystając z chwilowej nieobecności właścicielki, której mieszkanie było połączone ze sklepem, weszły za ladę i wyciągnęły z szuflady 450 złotych. W międzyczasie wróciła właścicielka, która przyłapała je na gorącym uczynku. Jedna dziewczynka uciekła, drugą – 12-letnią Barbarę – sprzedawczyni zdołała ująć. Zadzwoeniła z własnego telefonu na pogotowie milicyjne, jednak zanim patrol zdążył przyjechać pod wskazany adres, dziewczynka – w nadziei, że właścicielka ją puści – zaczęła histerycznie krzyżeć. To zaś zainteresowało przechodniów, którzy zaczęli się zbierać przy sklepie. Dość szybko pojawiła się plotka, jakoby właścicielka pobiła dziewczynkę za to, że ta, głodna, chciała zjeść jedno ciastko z za lady. Zbierający się przechodnie zaczęli grozić sprzedawczynie, która w obawie o swoje bezpieczeństwo zamknęła sklep. To tylko wzmogło agresję wśród gromadzących się ludzi – tym bardziej że dziewczynka w dalszym ciągu głośno krzyżała z wnętrza piekarni. Kiedy przyjechali funkcjonariusze, pod sklepem było już około 100 osób. Trzem milicjantom nie udało się jednak zaprowadzić porządku. Z tłumy padały groźby pod adresem właścicielki.

Straszono ją pobiciem i zdemolowaniem jej sklepu. Funkcjonariusze, widząc całą sytuację, zabrali małą dziewczynkę i odjechali, licząc, że to wystarczy, aby uspokoić rozpalone emocje. Nie przypuszczali nawet, że był to dopiero początek prawdziwych kłopotów.

Na posterunku ustalono personalia dziewczynki, adres zamieszkania, a także do której szkoły powinna być uczęszczać. Okazało się wówczas, że Barbara była już znana milicjantom z wcześniejszych wykroczeń. Kilkakrotnie przebywała w izbie dziecka za kradzieże, jakich dopuściła się, m.in. na swojej babce. Rodzina młodej recydywistki również nie była obca szczecińskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Ojciec odbywał karę więzienia za włamanie, starszy brat przebywał w zakładzie poprawczym za kradzież, nawet młodsza siostra Olga – która prawdopodobnie zdołała uciec z piekarni – kilkakrotnie trafiała do izby dziecka za kradzieże i włóczęgostwo. Matka, która pracowała w Szczecińskiej Fabryce Mebli na Pomorzanach, nie była w stanie właściwie zająć się dziećmi, w związku z czym wystąpiono do sądu o odebranie jej prawa do opieki. O tym jednak gromadzący się na ulicy Jagiellońskiej ludzie nie wiedzieli. Dla nich obraz sytuacji był klarowny – zła sprzedawczyna krzywdziła biedne dziecko.

Powtarzana przez tłum plotka rosła w siłę i zyskiwała nowe szczegóły. Teraz już nie tylko głodna dziewczynka próbowała zabrać ciastko, ale w trakcie tej czynności została pobita do nieprzytomności, a patrol milicyjny musiał ją odwieźć do szpitala. Po godzinie już około 500 osób groziło właścicielce pobiciem, a niektórzy próbowali włamać się do sklepu. Kobieta ponownie powiadomiła o sytuacji milicję. Siły Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej zostały postawione w stan gotowości, ale pozostawały w jednostce. Zastępca komendanta miasta MO osobiście udał się na miejsce zdarzenia, po czym stwierdził, że niezbędne będą posiłki. Chodniki i jezdnie były całkowicie zablokowane, a w stronę zasłoniętych żaluzjami okien co chwilę leciały cegły. Co bardziej krewcy demonstranci, w tym kobiety, próbowali wdrzeć się do wnętrza piekarni od strony mieszkania właścicielki. Kilku milicjantów, którzy przybyli na miejsce wraz z komendantem, skupiło się na obronie wejścia do mieszkania, jednak możliwości ich działań były niewspółmiernie małe do stale wzrastającego zagrożenia. Kiedy na miejsce zdarzenia dotarły dwie kompanie ZOMO, tłum liczył już około tysiąca osób. Zebranych wezwano do rozejścia się, po czym uformowano tyralierę i przystąpiono do stopniowego wypierania demonstrantów na boczne ulice. Cała akcja trwała około pół godziny, przy czym – jak zaznaczały źródła milicyjne – nie użyto wówczas ani środków chemicznych, ani pałek. Wyparci ludzie zaczęli jednak wracać w to samo miejsce i dopiero rześisty deszcz, który spadł wieczorem w Szczecinie, zdołał zaprowadzić porządek na ulicach miasta.

Prawdopodobnie nie wydarzyłoby się już nic niepokojącego, gdyby nie reakcja szczecińskiej prasy. Następnego dnia rano w „Głosie Szczecińskim” autor podpisujący się inicjałami „jn” zamieścił krótką notkę o tym zajściu. Informacja nie zawierała żadnych deklaracyjnych stwierdzeń. Dziennikarz używał określeń: „według niektórych świadków”, „podobno”, niemniej jednak informacje podane w gazecie musiały pobudzić wyobraźnię czytelników. W tekście nie padło ani jedno słowo o kradzieży pieniędzy, a także o kryminalnej przeszłości zatrzymanej Barbary. Znalazły się za to informacje o tym, że dziewczynka

– której w tekście obniżono już wiek do pięciu lat – została „okrutnie pobita” przez sprzedawczynię za kradzież jednego ciastka. Autor dalej wspominał o szturmie tłumy na piekarnię i interwencji sił milicyjnych, po czym kończył swój tekst informacją, że oficer dyżurny Komendy Miejskiej MO odmówił potwierdzenia tych faktów do czasu zakończenia śledztwa. Prawdopodobnie nikt już na to ostatecznie zdanie nie zwrócił uwagi. Zbyt wiele wstrząsających informacji podano wcześniej. Podobną wiadomość tego samego dnia zamieścił na swoich łamach „Kurier Szczeciński”. Tam również pisano o pięcioletniej dziewczynce, której bezprawnie wymierzono sprawiedliwość, w wyniku czego dziecko trafiło do szpitala. Co z dzisiejszego punktu widzenia najbardziej zaskakujące, choć charakterystyczne dla ówczesnych przekazów medialnych, dziennikarze obu szczecińskich gazet podali w tekście nazwisko właścicielki piekarni, a także dokładną lokalizację zakładu. Nie trzeba było długo czekać na reakcję.

Kierownictwo milicji, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji i jej przewidywalnego rozwoju, poprosiło o pomoc Polskie Radio Szczecin. Maria Nesterowicz w *Przeglądzie aktualności Wybrzeża* próbowała dementować „stugębną plotkę o katowaniu niewinnego dziecka”. Po uzyskaniu informacji z Komendy Miejskiej MO autorka przedstawiła postać dziewczynki i jej patologicznej rodziny. Nesterowicz mówiła też: *Zastanawiająca jest łatwowierność kobiet, a co gorzej – redaktorów obydwu naszych gazet, którzy potrafią byle plotkę rozdmuchać do rozmiarów zbrodni. Drogie panie! W tym czasie, kiedy wy demonstrowałyście pod piekarnią w obronie rzekomo skrzywdzonego dziecka, w tym czasie – powtarzam – wasze dzieci były pozbawione opieki.* Dziennikarka radiowa zapewniała także, że dziewczynka nie znajduje się w szpitalu, ale cała i zdrowa przebywa w izbie zatrzymań. Na dowód tego wyemitowano nagranie z izby. Nie zachowało się ono jednak w taśmotece radiowej, więc nie możemy dziś stwierdzić, co zawierało. Na uspokojenie wzburzonych emocji było już jednak za późno. Około południa przed sklepem ponownie zaczął zbierać się tłum, który błyskawicznie się zwiększał. Po kilku godzinach przed piekarnią demonstrowało już 3 tysiące osób.

Milicjanci, którzy znaleźli się na miejscu zdarzenia, zdołali jedynie zabezpieczyć bramę wjazdową i drzwi do mieszkania właścicielki piekarni. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Podobnie jak poprzedniego dnia, groźby zaczęły być wcielane w życie. Na miejsce dotarł tym razem sam komendant miejski MO, który osobiście próbował zapanować nad sytuacją. Jego działania były jednak wyjątkowo nieudolne. Bez megafonu próbował przemawiać do wzburzonego tłumu, namawiając zgromadzonych do rozejścia się. Niektórzy wymachiwali gazetami i wołali, że w nich zapisana jest prawda. Widząc niepowodzenie swojego postępowania, komendant wpadł na pomysł, aby spośród tłumu wybrać delegację, która miała się osobiście przekonać, że dziewczynka jest zdrowa i bezpieczna. Trzy osoby zostały zawieszone do aresztu, gdzie na własne oczy przekonały się, że Barbara nie została pobita. Po powrocie osoby te nie były jednak w stanie przekazać swoich obserwacji blisko trzytysięcznemu zbiorowisku. Wszelkie próby wyjaśnień spotykały się z gwizdami i krzykiem zebranych. Sytuacja stawała się coraz niebezpieczniejsza. Za cel obrano sobie okna mieszkania właścicielki piekarni, które w niedługim czasie zostały wybite.

O sytuacji powiadomiono komendanta wojewódzkiego milicji, który zarządził mobilizację funkcjonariuszy operacyjnych MO, a także ZOMO. W czasie kiedy dowódca oddziałów ZOMO przygotowywał plan działania, komendant miejski wraz z podległymi sobie funkcjonariuszami milicji bezskutecznie próbował zaprowadzić przed sklepem porządek. Nie dysponując wystarczającą siłą, milicjanci byli w stanie jedynie przesuwac tłum z jednego miejsca na drugie, przy czym sytuacja prawie się nie zmieniała. Skoncentrowano się zatem na niedopuszczeniu do rzucania kamieniami, a także na uniemożliwieniu szturmowania mieszkania przez rozgorączkowanych szczecinian.

Dopiero około 21.30 plan działań „sił porządkowych” został zatwierdzony. Na miejsce wysłano dwie kompanie ZOMO w sile 140 funkcjonariuszy. Milicjanci przyjechali z włączonymi syrenami i zapalonymi emblematami „MO” na samochodach. Już takie działanie wywołało pożądany

psychologiczny efekt, w wyniku czego część zebranych opuściła miejsce zbiegowiska. Funkcjonariusze uformowali tyralierę, po czym przystąpiono do działań podobnych do tych z poprzedniego dnia. Jak zapewniała sama milicja, tym razem również nie używano gazu ani pałek, tylko siłą wypychano ludzi z ulicy. Interwencja objęła odcinek ulicy Jagiellońskiej między aleją Piastów a aleją Wojska Polskiego, a także poprzeczne ulice Pocztową i Bolesława Śmiałego. Porządek przywrócono dopiero około 23.00.

Następnego dnia rankiem przekaz medialny w „Głosie Szczecińskim” był zgoła odmienny niż dzień wcześniej. Znany szczeciński publicysta Stefan Janusiewicz nie pisał już o pięcioletniej, ale o dwunastoletniej dziewczynce. Nie pisał już o pobiciu do utraty przytomności, ale o „przytrzymaniu” jej przez właścicielkę piekarni do czasu przyjazdu milicji. Dziennikarz tym razem nie pozostawiał cienia wątpliwości, że żadnego pobicia nie było, a sama winowajczyni przyznała się do kradzieży pieniędzy i zapewniała – także dziennikarzy – że nie została skrzywdzona. „Głos Szczeciński” albo sam dostrzegł, jak niechlubną rolę w całym zdarzeniu odegrał, albo kierownictwo gazety otrzymało ostrą reprimendę, bo w tym samym numerze redaktor naczelny, Józef Baran, bił się w pierś. W swoim komentarzu „ze wstydem przyznawał”, że reporter dał się wprowadzić w błąd. Potwierdzał, że nie powinno dojść do opublikowania niesprawdzonych informacji bez uprzedniego dogłębnego przebadania całej sprawy. Na tym jednak Baran zakończył dostrzeżenie własnej winy. W dalszej części tekstu skupił się na zachowaniu tłumu. *Przez dwa dni – pisał – byliśmy świadkami niezdiscyplinowania części mieszkańców naszego miasta. Zamiast spokoju – rozwydrzenie, zamiast dyscypliny – chuligaństwo, zamiast pomocy w uśmierzeniu grupy wyrostków – pobłażliwość i zachęcające statystowanie.* Redaktor naczelny pisał o niesmacznym widowisku, do którego „ludzie pracy Szczecina” nie powinni w przyszłości dopuścić. Warto dodać, że niespełna półtora roku wcześniej podobne apele – przy czym w znacznie ostrzejszym tonie – wygłaszane były przez szczecińskie środki masowego przekazu po zniszczeniu konsulatu radzieckiego. W grudniu

1956 r. antysowieckie zamieszki w Szczecinie były bezpośrednim impulsem do utworzenia oddziałów ZOMO, które miały w zarodku pacyfikować niepokoje uliczne. Półtora roku od tamtych wydarzeń doświadczenie tych oddziałów było za małe, żeby skutecznie poradzić sobie z sytuacją przed szczecińską piekarnią.

Po całej akcji, która pomimo sukcesu – co zgodnie uznawano – nie była przeprowadzona profesjonalnie, milicja próbowała przeanalizować przebieg wydarzeń i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Zwrócono uwagę, że tym, co doprowadziło do dwudniowych niepokojów w centrum miasta, był drobny incydent, który dość szybko zaczął być komentowany przez przechodniów. Uznano, że właśnie sytuacja, w której ludzie zaczęli gromadzić się na ulicy, a jeszcze nie atakowali piekarni, była najlepszym momentem na podjęcie interwencji. Kierownictwo milicji doszło do wniosku, że powinno się zlikwidować zbiegowisko, gdy dopiero powstawało, przy użyciu jak najbardziej łagodnych środków. Tak jednak nie zrobiono. Im ludzie dłużej przebywali pod piekarnią, tym nastroje szybciej się radykalizowały, a widok tłumu zachęcał innych przechodniów i – jak określano – wyrostków, do zainteresowania się tym, co dzieje się na ulicy. Za karkołomne uznano próby przemawiania do manifestujących bez użycia megafonu. Fakt, że słowa docierały jedynie do nielicznych, wprowadzał tylko zamęt i narażał komendanta na pośmiewisko. W sformułowanych już po czasie wnioskach przyjęto, że błędem było demonstrowanie ujęcia młodocianej złodziejki. Mogło to wywołać nieprzewidziane reakcje, łącznie ze skierowaniem się tłumu w stronę komisariatu i odnośzeniem żądań demonstrantów bezpośrednio do organów MO. Prawdopodobnie nawiązywano w tym miejscu do doświadczeń ze wspomnianych już zamieszek sprzed półtora roku w Szczecinie. Zanim doszło wówczas do zniszczenia konsulatu radzieckiego, agresywny tłum przeprowadził atak na dwa komisariaty milicji w centrum miasta, wybijając w jednym z nich niemal wszystkie szyby. Ze zrozumiałych względów obawiano się powtórki podobnych wydarzeń.

Jedną z omawianych spraw był także kontakt z lokalnymi mediami, o których sile oddziaływania

przekonano się właśnie w maju 1958 r. W kontekście opisywanego zdarzenia uznano, że w przyszłości kontakt z prasą powinien być znacznie ściślejszy. Niedopuszczalne było publikowanie przez dziennikarzy niesprawdzonych informacji, ale równocześnie za niewłaściwe uznano milczenie oficera dyżurnego MO, który nie udzielił przedstawicielom mediów żadnych wyjaśnień, pozwalając na powielenie na łamach gazet rozgłaszanych plotek, domysłów i przypuszczeń. Warto też zauważyć, że próby ratowania sytuacji poprzez dementujące pogłoski komunikaty w radiu nie przyniosły żadnych rezultatów. Siła oddziaływania tego środka masowego przekazu była nieporównywalnie mniejsza niż siła prasy. Ulotność słowa płynącego z głośników radiowych przegrywała w konfrontacji z naturalnym mechanizmem ludzkiej wiary w prawdziwość drukowanego słowa. Był to wniosek, który miały wyciągnąć redakcje gazet, aby podobnych zdarzeń nie prowokować w przyszłości.